

Miłość

(historia nr 1.19 w serii książek Aimeiz, aimeiz.pl)

Na biurku Siddaya leżała płachta materiału, kiedyś prześcieradło, teraz mapa, na której czerwonymi kręgami chłopak zaznaczył trzy możliwe lokalizacje na nowy magazyn dla grupy. Nie mógł jednak podjąć decyzji, bo wciąż rozpraszały go zmartwienia o losy Synogi. Miał dopiero szesnaście lat i już był odpowiedzialny za ponad dwieście osób. Musiał je wykarmić, ubrać, zorganizować im nocleg, zadania, hierarchię, a teraz jeszcze doszedł mu dylemat: czy wybrać gorsze miejsce na magazyn, ale bliższe dworca Rosowo, skąd musi w ciągu trzech dni jakoś przetransportować cztery tony towaru, czy lepiej wyznaczyć dobrze ukrytą miejscówkę, ale z drugiej strony miasta?

Rozkojarzony, trochę zmęczony, Sidday kreślił długopisem kółka wokół potencjalnych lokalizacji. Coraz bardziej pochylał się nad biurkiem w pokoju na piątym piętrze zaadaptowanego na siedzibę organizacji budynku w dzielnicy Welmond zwanej Fort Suzew. To była ruina, którą zwolennicy Synogi samodzielnie urządzili i wyremontowali w sposób, który porażał brakiem spójności, ale za to idealnie odpowiadał ich potrzebom. Mieli tu wszystko, od sypialni po prowizoryczne łazienki i piwnicę pełną zapasów. Przygotowali nawet scenę z widownią, by odtwarzać przeżyte historie, te zabawne z ulicy i smutne z hal, nasycając je przerysowanymi emocjami i humorem. Tworzyli w ten sposób własny, amatorski teatr życiem pisany. Tak urozmaicali sobie coraz chłodniejsze wieczory i koili stres dni pełnych pracy.

Do stałych obowiązków zwolenników Synogi należały: obserwacja budowanego portu i dróg wjazdowych do miasta, utrzymywanie kontaktu ze zwolennikami w siłach DARPA i przeszukiwanie opuszczonych dzielnic. Jednak to handel stanowił prawdziwą ich siłę. Wymieniając się dobrami, prowadząc własne targi, tworząc od podstaw nowy, barterowy rynek w mieście, a także wykonując drobne zlecenia, naprawy czy oferując ochronę, zbudowali sieć zależności i siatkę znajomości, które pozwalały im przetrwać i zapewnić sobie istotną pozycję w Welmond.

Tupot kilku wbiegających po schodach osób wyrwał Siddaya z bezowocnych rozmyślań. Po tępych odgłosach, jakie wydawały betonowe skruszone stopnie, domyślał się wagi niesionej wiadomości. Wpatrzony w drzwi czekał, aż do środka, jak zwykle bez pukania, wpadnie gromadka chłopaków. Chwilę później byli już w środku, ładując sobie wzajemnie na plecach i głupkowatym śmiechem wypełniając pokój lidera.

– Warzyście rombić – przypomniał Sidday.

– A no tak! – zawył chłopak w pierwszym rzędzie i stuknął się otwartą dłonią w czoło, dając przykład innym i zapoczątkowując koncert nieprzyjemnych dla ucha płasknięć.

– Gdybyj kogo scaliśmy w stadninie za siedlem! – krzyknął drugi nastolatek, wciąż wisząc na plecach swojego towarzysza z przodu.

Sidday nie odpowiadał. Nie lubił zgadywać, a poza tym obrał sobie za cel uczyć przykładem członków Synogi poważnego podejścia do swoich obowiązków. Czekał więc cierpliwie, aż któryś z zaafekowanych wciąż nieujawnioną wiadomością chłopaków zauważy jego wysiłek edukacyjny.

– Scaliśmy pirkę Andersa! – zdradził posłaniec, który dopiero teraz przepchał się do przodu. To był „Stary”, jeden z nielicznych siedemnastolatków w Synodzie.

– Co?! – ryknął Sidday i wyrósł zza biurka.

– Skrzypnęliśmy ją na Raszynie, leżyła w życzy stadninie! – opowiadał chłopak w pierwszym rzędzie, na którego mówiono w grupie „Luźny”.

– Dać jarzycie, że to ona?

– Bońki z Rusina tak cytrają, a Kasmir uszył dać sama się poznała – tłumaczył Luźny.

– Gnierała też idkę Hegemona! – dodał Stary. – To na pewno pirka Andersa!

– To nie wigo – stwierdził Sidday i spojrzął za okno, by chwilę pomyśleć. – Lada Anders ją ugania i zoczy cyp, to wyśle czarnych z całej Europy – pogroził i spojrzął na poblądle twarze chłopaków.

– To dać działamy? – zapytał Luźny.

– Hulamy tam – rozkazał lider i włożył czarną skórzaną marynarkę, którą znalazł w jednym z opuszczonych magazynów i nosił jako symbol władzy, nawet w najgorsze upały. Z tyłu miała namalowaną białą literę „Y” z szeroką poziomą linią u podstawy. Znak ten symbolizował Synogę, a

powstał z rysunków najmłodszych członków grupy, którym wyjątkowo spodobała się obietnica Siddaya, że jak złapie Andersa, to posadzi go łbem w gruncie jak słup.

Chłopcy mieli bujną wyobraźnię, o czym świadczyły liczne opowiadane z ust do ust legendy, a najpopularniejsza z nich dotyczyła szram na ręce Siddaya – pamiątce po walce z tygrysem na przedmieściach Welmond. Skąd się tam wziął taki zwierz, nikt nie wiedział, ale krążyły słuchy, że drapieżników było tak naprawdę kilka, w tym na pewno niedźwiedź. Mitów dotyczących lidera Synogi powstało więcej. Niektórzy wierzyli, że zrodziła go żyzna ziemia, bo miał włosy jak zboże jasne i długie do ramion. Mówiono też, że jest niezniszczalny, bo przetrwał wybuch hali w Tynan, po którym pozostało mu skupisko piegów, niczym blizn, w okolicy nosa. Istniała też teoria, dlaczego mrużył oczy, dlaczego były tak niebieskie i dlaczego w ogóle założył Synogę. W skrócie dzieci uwielbiały zmyślać i nikomu to nie przeszkadzało.

Drużyna Siddaya dotarła do stadniny koni w czterdzieści minut, część drogi pokonując pod powierzchnią, kanałami, żeby ominąć najcięższe posterunki sił DARPA. Minęli stare, zniszczone lotnisko i kilka ulic pełnych rozsypujących się, dawno temu splądrowanych domów. Przy bramie kompleksu porzuconych stajni, służących Synodze jako punkt wypadowy na południe Welmond, czekał już chłopak z drużyny Kasmira, dowódcy tego rejonu. Z palcem, jak wskazówką kompasu, wyciągniętym przed siebie nastolatek poprowadził ich do właściwego budynku, co chwilę z ekscytacji podbiegając i zaraz zwalnając, by nie zgubić spokojnie idącego za nim lidera.

– To cyp! – powiedział przed jedną ze stajni i pierwszy wszedł do środka, dołączając do grupki chłopaków zebranych przy najdalszym z boksów dla koni, których dawno tu nie było.

– Boczni! – krzyknął Sidday, manewrując w tłumie dzieciaków wpatrzonych w nagą i brudem oblepioną dziewczynę. Zwinięta w kłębek, zaszczuta, posiniaczona siedziała wciśnięta w róg przegrody.

– Golaj co zoczyłem! – pochwalił się trzynastoletni Kasmir i chwycił ją za kostkę, ciągnąc na środek stajni. Śmiechem przedrzeźniał jej niecelne kopniaki i nieskuteczną szarpaninę.

– Wiraj ją – rozkazał Sidday, przerywając salwy śmiechu zebranych w budynku dzieciaków. – No już, ruszaj ją!

– Ale to ja ją skrzywnąłem! – zaprotestował Kasmir, oczekując pochwały, a nie poniżenia. Przetrzymał chwilę groźne spojrzenie lidera i w końcu z sykiem niezadowolenia puścił dziewczynę, która natychmiast wczłogała się z powrotem do bloku.

– I ty ją obdarzyłeś?

– No, w kupie z bajdą, ale to pirka Hegemona!

– No właśnie! – huknął Sidday. – To pirka Andersa, a ty ją bulisz? Taki z ciebie odważny?!

– Ale...

– Boczni! – rozkazał lider, odepchnął mniejszego o głowę chłopaka i wszedł do bloku, gdzie skulona w kącie siedziała jego ofiara, chowając twarz w kolanach i skrywając ją dodatkowo brudnymi od błota włosami. – To prawda, że jesteś pirką Andersa? – zapytał i klęknął przy niej. – Prawda? – powtórzył głośniej.

– Córką? Tak – cicho odpowiedziała zza swej zasłony dziewczyna.

– Dać się mienisz?

– Nie rozumiem.

– Jak się nazywasz? – Sidday powtórzył bliższym jej językiem.

– Lena Anders. Jesteś liderem Synogi? – zapytała dziewczyna, wciąż drżąc cała, zabarykadowana za murem nagiego ciała.

– Tak. Mienie się, to znaczy nazywam, Sidday Solomoy.

– Proszę, nie wrzucaj mnie do wilka. Ja chcę się do was przyłączyć! – błagała Lena, wznosząc zza muru kolan dwa, łzami połyskujące, szmaragdowe kryształy, których nagły wschód przyćmił błota szpetną naturę, nagiął prawa fizyki światła, sprzął mrok z płachty istnienia i skradł fundament ziemi wprost spod stóp chłopaka.

Sidday ocknął się z tyłkiem zamoczonym w błocie i głową wirującą w przestworzach. Nie mógł pojąć jak to możliwe, że oczy miała tak malachitowe, a włosy tak czerwone, choć grubo brudem pokryte. Wstał, walcząc z sercem o równowagę, i prawie padł, postrzelony bezbarwnością wszystkiego i zgnębioną wolą niczego.

– Cytraliście jej, że pstrykniecie ją do wilka? – z niedowierzaniem zapytał stojących wkoło chłopaków, a tęsknotę momentalnie przekuł w złość. – Nikt jej nie ryśnie! Jarzycie to?! – wściekle wył, opętany echem mistycznych doświadczeń. – Gdzie są jej wyrki?!

– Luzneliśmy, bo były zroszczone – przyznał Kasmir, oszołomiony zachowaniem lidera. Miał trzynaście lat i kierował już wszystkimi działaniami Synogi na południu miasta, a swój sukces zawdzięczał porywczoci, brutalności i niepohamowanej agresji, która dyktowała mu czyny częściej niż rozum.

– Dać luznąłeś, to teraz zoczysz jej wigo wyrki. Buczne! Jarzysz?! – żądał lider, depcząc go spojrzeniem.

– Ale kąd? To pirka Hegemona, ciurzy ją...

– Utnij, bo spadniesz!

– Co ty? – jęknął Kasmir i spojrzał na kolegów, szukając wsparcia.

– Co ja? To pirka Andersa! – znów ryknął Sidday, wskazując dziewczynę palcem. – On ją na pewno ugania! Warasz, żeby ją zoczył u życzy?! Gołą i zbuloną? A co lada ona wyrała z budy i jest dać my? Nie taka jest Synoga! – krzyknął i zaczął rozpychać chłopaków przy boksie. – Zoczcie jej te wyrki! – zażądał, niecelnymi kopniakami poganiając drużynę Kasmira i wyganiając prawie wszystkich ze stajni. Potem, zdyszany aktem waleczności, odwrócił się do Leny i zgasił gniew w rzece jej krystalicznie czystych oczu. Tak wpatrzeni w siebie, on zanurzony w bezkresie wieczności, ona po prostu z ciekawości, tkwili chwilę.

– Czy mogę prosić o coś do picia? – cicho zapytała dziewczyna.

– No jasne – odpowiedział Sidday i machnął dłonią na Starego, który nie czekał na rozkaz, tylko od razu poszedł go wykonać.

– Pewnie chcesz wiedzieć, co tu robię – zgadywała Lena, wciąż skulona, ale jakby pewniejsza siebie.

– Wyrałaś z budy, tak?

– Śmieszny macie język – stwierdziła, próbując uśmiechem skruszyć zaschnięte na twarzy błoto – ale domyślam się, o co pytasz. Tak, uciekłam z rezydencji mojego ojca.

– Hulalaś tu z Kintel?

– Tak, ale po drodze zgubiłam się i straciłam wszystkie rzeczy – przyznała Lena i wygięła usta wstydem, odgarniając z oczu sklezione włosy, ale wciąż pobłyskujące karmazynowym zachodem.

Teraz Sidday pękł skromnym uśmiechem, bo jej słowa, jak zapalnik bomby, rozsadziły mu głowę wspomnieniami i dźwiękiem rozsypanych na ziemi koralu. Stracił je razem z jedzeniem, wodą i pewnością siebie na dworcu w Vesteren.

– Warasz być z nami? – zapytał.

– Chciałabym dołączyć do Synogi, bo dużo o was słyszałam. Na pewno się przydam!

– Dać Anders jarzy pała jesteś?

– Proszę?

– No, czy wie.. – próbował wyjaśniać Sidday.

– Nie! – przysięgła Lena. – Miałam lokalizator w naszyjniku, ale wrzuciłam go do innego pociągu. Na pewno nie wie, że tu jestem! Przyjmiecie mnie? Proszę! – błagała, mocniej wtulając się w kolana, jakby ciało było wszystkim, co miała. – Nie mam już dokąd iść – ostatkiem sił przyznała, w głosie pobrzmiwając nadziei spustoszeniem, które chłopak dobrze znał, pamiętał, przeżywał, gdy ludzkość go zdradzała, porzucała i deptała w chwili największej potrzeby. – On nie będzie mnie szukał – dziewczyna dalej przekonywała. – On się mną nie interesuje, nie obchodzi go, a poza tym teraz ma ważniejsze problemy na głowie i chorobę.

– Moruje?

– Choruje, tak, nieuleczalnie. Umrze niedługo, mam nadzieję.

– Nie mirasz... to znaczy, nie lubisz go?

– Nienawidzę! – krzyknęła Lena, a potem cicho jęknęła, bo każde drgnienie posiniaczonego ciała wywoływało piekącą falę bolesnych dreszczy.

– A gono warasz być z nami?

– Mógłbyś poprosić ich, by nie oblepiali mnie tak wzrokiem? – mruknęła dziewczyna, wciskając się bardziej w róg boksu, by uciec przed wścibskimi spojrzeniami stojących przed blokiem chłopaków.

Sidday natychmiast warknął rozkazem, przeganiając posłuszne, choć rozczarowane dzieciaki.

– Życzy bajda cię nie ryśnie – obiecał i oblał się rumieńcami w blasku jej dziękczynnego uśmiechu.

– Naprawdę jesteś ich przywódcą – przyznała Lena, zatapiając mu w sercu kotwicę do siebie uwielbienia i rozkwitając przed nim, jak kwiat pękiem, przy okazji odsłaniając na czole niewielkie zakrwawione rozcięcie. Lider nieroztropnie chciał go dotknąć. – Nic mi nie jest! – krzyknęła, zatraskując na powrót bramę obdartych kolan.

– Wrać tylko ogolić...

– Nic mi nie jest – powtórzyła Lena, zatrzaśnięta w fizycznej kapsule. Mogła rozsypać się w pył i zniknąć na dźwięk złego słowa lub dreszcz muśnięcia, tak delikatna była w oczach chłopaka.

Drastycznie odcięty, za próg wyrzucony, Sidday zawisł pomiędzy pragnieniem pomocy i awersją do krzywdy, które wytworzyły próżnię sprzeczności obcą mu, jak sama przestrzeń kosmiczna. Nie miał nigdy wcześniej do czynienia z takim problemem. Do tej pory dziewczyny w ogóle nie były w kręgu jego zainteresowań ani nawet w obrębie realnych relacji, gdyż Wielki Plan uważnie segregował pracowników płcią, eliminując wszelkie okazje do spotkań.

– Chciałam zobaczyć, jak to jest – przyznała Lena, wyłaniając się powoli zza kurtyny strachu.

– Co zobaczyć? – Sidday dociekał trochę zapomnianym językiem.

– Zobaczyć, jak to jest żyć. Całe dzieciństwo spędziłam zamknięta w rezydencjach ojca, a jego samego nigdy nie widziałam, z wyjątkiem urodzin i czasami, gdy akurat w mieście miał ważne sprawy do załatwienia. Nigdy też nie mogłam wyjść sama do miasta, a większość czasu i tak siedziałam w ogrodach. Chciałam wreszcie zobaczyć prawdziwy świat.

– I co? – Sidday zapytał, natychmiast żałując nieprzemyślanych słów.

Lena tylko spojrzała na niego odrobinę złowieszczo i agresywnie, a potem oparła brodę na kolanach i wpatrywała się w ziemię bez skazy zainteresowania. Z każdą chwilą pogrążała chłopaka w torturach komunikacyjnej kłęski i zmartwień utraconych szans na zaimponowanie jej.

– A co spacasz? – lider szukał ratunku w formalnościach.

– Nie rozumiem.

– No dać masz space, te no, co wachtasz na gładze – gorączkowo tłumaczył.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – dziewczyna przyznała z zakłopotaniem na twarzy uśmiechem, który kwitł nawadniany jego rozpaczliwymi próbami wyjaśnień. Mrużyła przy tym oczy, prawie je zamykając, i wznosiła mimowolnie białe ramiona, odsłaniając skrytą pod błotem wspaniałą naturę przyjaznej, radosnej osoby nieszkodliwie rozbawionej sytuacją. – Przepraszam, przepraszam! – powtarzała zawstydzona wzmagającym się chichotem.

– Nieważne – Sidday ustąpił, zdruzgotany swą nieporadnością, ale pocieszony faktem, że z jego nieobecności dziewczyna czerpała pocieszenie.

– Nie poddawaj się, proszę! – zachęcała go do starań Lena. – Chcę się nauczyć waszej mowy, naprawdę! Mogę potem wam pomagać tłumaczyć przechwytywane wiadomości. Na pewno się przydam!

– Nie.

– Nie?

– Ja waram, żebyś ty edziła mnie, to znaczy, uczyła mowy przodków.

– Przodków?

– No jarzysz, starszych, dorosłych – tłumaczył Sidday, wertując pamięć w poszukiwaniu zagubionych lekcji Henry’ego.

– Oczywiście, że mogę was uczyć – ochoczo potwierdziła Lena i wyciągnęła w jego stronę rękę. – No śmiało, mamy umowę! – radośnie ponaglała. – Chcesz, bym robiła coś jeszcze?

– No... – chłopak chwilę myślał – blata nie – rzekł, wpatrzony w energicznie przez nią potrząsane dwie splecione ich dłonie. – A spacasz szachy? – zapytał z nadzieją, że znalazł partnera do swojej ulubionej gry.

– Szachy? Tak! Uwielbiam grać w szachy – przyznała Lena i zmrużyła tajemniczo oczy. – Rozumiem już, spacać znaczy umieć. Chciałeś wiedzieć, co potrafię. Widzisz? Już wiem więcej – pochwaliła się i znów skryła za murem obdartych kolan, znad których kocimi oczyma bacznie obserwowała wchodzącą do stajni drużynę Kasmira.

Hałas rozgadanej gromady rozgrzał krew Siddaya.

– Gnieracie wyrki? – zapytał, jak lew stając w obronie swej zdobyczy.

– No tak. Zoczyliście w trapie taką szmatkę dla pirek – odpowiedział jeden z chłopaków, podając liderowi zieloną sukienkę z ramiączkami, lekko podartą na gęstych fałdach poniżej pasa. Z pewnością była za mała na Lenę.

– I to zwał?! A trepki, pajty?!

– Nie gnieramy wyrków dla pirek – wysyczał z zaciśniętymi zębami Kasmir.

– Sidday! – zawołał w bramie budynku Stary. – Ty przytnij. Sać taki nasiony jesteś?

– Wodę gnierasz?

– No tak, rącz – potwierdził nastolatek i podał liderowi butelkę. Stał tuż obok niego, plecami do reszty. – Ty, nie bul ich tak, nic nie zrobili – cicho poradził.

– Bez trepek ma hulać? Jak?! – ryknął Sidday, ignorując sugestię towarzysza.

– Dam radę! – zaręczyła Lena. – Nie potrzebuję butów. Sukienka mi wystarczy i picie, proszę – dodała głosem, jak śniegiem chłodząc rozgrzane nerwy chłopaka. Na oczach wszystkich, zasłaniając się podarowanym materiałem, wstała plecami przyparta do ściany i zachłannie wypila większość wody, resztką oblewając głowę i twarz. – Możecie? – zapytała z ubraniem wciśniętym w pierś, wyraźnie zawstydzona i wciąż wystraszona, czekając, aż ktoś zrozumie jej prośbę. Po chwili niezręcznej ciszy Sidday ocknął się i wskazał ręką wyjście, po czym ostatni opuścił stajnię, jak rycerz na rozkaz swojej królowej.

Gdy Lena wyszła z budynku, rozmowy drastycznie ucichły, a spojrzenia chłopaków oblepiały ją bardziej niż błoto. Jedni patrzyli z ciekawością, bo pierwszy raz w życiu mieli kontakt z dziewczyną spoza hali, wychowaną w nieznanym im luksusach i do tego rudą, jak ogień, a inni z pogardą, widząc w niej śmiertelnego wroga, do tego odmiennej płci. Tylko Sidday dostrzegał jej piękno nietknięte brudem, nieskażone zmęczeniem, nieskalane siniakami, bo płynące z odwagi, by wyjść naprzeciw zbiorowej niechęci i kroczyć pewnie doliną złowrogich i gardzących min.

Była odmieńcem, obiektem drwin, esencją złowrogich sił i tajemniczym bodźcem dla wyciszonych nastoletnich zmysłów. Od agresji i czystego zła, jakie tylko dzieci ciekawością mogą z siebie wykrzesać, dzielił ją jasny uśmiech i za ciasna podarta sukienka. Nieprzejęta skupioną na sobie uwagą, Lena poprawiała fałdy tkaniny na udach, okazując dumę z nowej garderoby, a potem dokładnie otrzepała kolana z zaschniętego błota, robiąc to tak zwyczajnie i nieciekawie, jak tylko potrafiła. Ze wszystkich zebranych wokoło osób tylko Sidday rozumiał, że na co dzień przywdziewała nieporównywalnie piękniejsze stroje, a boso chodziła za pewne tylko spać. Nieugięta, nie do zdarcia, niepokonana tułaczką, wrastała mu w serce, wypełniając żyły przyjemnym odurzeniem. Naśladując innych, oparła się o ścianę budynku i założyła, jak chłopcy obok, ręce na piersi, szukając ze znużeniem ciekawych chmur na niebie.

– Sidday, Sidday! – krzyczał z daleka pędzący chłopak, odwracając uwagę od dziewczyny. – Zgoliśmy ją! – wołał, wzbudzając za sobą ogon pyłu. – Zgoliśmy ją – powtórzył z wywieszonym językiem, opadając z sił tuż przed liderem. Wspierając się na kolanach, łykał powietrze i liczył krople potu, które z czoła spadały mu na ziemię.

– Kogo? – zapytał Sidday.

– Tyrankę! – dzieciak niepotrzebnie krzyknął. – Jest w siedlu, zahulała w cztery wramy z czarnymi. Warała ucelać nas!

– Kiedy?

– Z trzy baszki temu. Uganiałem was w gracie, ale was witrzyć, to hulalem po całym siedlu – opowiadał chłopak, oddechami nienaturalnie łamiąc płynność słów. – Co działamy?

– Jak co? Nic – zarządził lider i skupił wokół siebie dzieciaki.

– Karo ją kichniemy? – zaproponował jeden z nich o imieniu Wider.

– Dać? Wartują ją mocno – stwierdził Luźny. – Za duży zarys.

– No i co, my czaimy siedle, oni nie.

– Nie obto – postanowił Sidday, poszukując Leny między głowami debatujących chłopaków. Znalazł ją pod ścianą stajni z Kasmirem u boku szepczącym jej coś do ucha. Ona nie zrywała oczu więzi z błękitem nieba, doglądając przyjaznego ludziom gwiazdozbioru z czułością matki na twarzy wypisaną.

– Kasmir! – zawołał lider, ucinając naradę drużyny.

– Co?!

– Wira od niej! Gnierzysz repkę w trapie na Rosowie. Ciurzysz turonić pirkom sfernać kuce. Hulasz far!

– Zaraz – zajęczał Kasmir.

– Teraz!

– Już, już – przeciągał dzieciak i leniwie zbierał się do drogi, zahaczając, niby przypadkiem, o sukienkę dziewczyny, jednym szarpnięciem ją wywracając. Potem szybkim krokiem uciekł przed liderem w stronę bramy stadniny.

– Nic mi nie jest! – natychmiast zgłosiła Lena, wstając z ziemi, zanim Sidday zdążył do niej dobiec. – Nic mi nie jest – z uśmiechem powtórzyła, przyjmując jego wyciągniętą na pomoc dłoń i przez chwilę stojąc w niewymownym zaproszeniu do tańca. – Prawdziwy dżentelmen z ciebie – rzekła, delikatnie uwalniając rękę i otrzepując sukienkę ze zmartwień i piachu. W ten sposób pokazywała wszystkim, że jest silniejsza, niż myślą.

– Co? – wycedził z ust Sidday, płacząc zmysły w płomieniach jej włosów. Nie rozumiał, co mówi, bo całe lingwistyczne zaplecze czerpał z hali, gdzie uczył się ze słuchu, metodą powtarzania, często przekręcając wyrazy, gubiąc ich sens i adaptując do swojego słownika.

– Nooo... – Lena przez chwilę stękała, w myślach zagmatwana. – Nieważne – w końcu stwierdziła, uśmiechem wieńcząc słodkiej chwili blask.

– Wyrka dobra?

– Wyrka? – zapytała dziewczyna. – A tak! – szybko sobie przypomniała. – Trochę ciasna, ale dam radę – mówiła, wyginając się na boki, naprężając przy tym wszystkie mięśnie. Akrobacjami kreśliła obce chłopakowi linie swego ciała, które w udach, biodrach i na piersiach, zakrzywiane ze złotą liczbą precyzją, kusily go dawno w hali zapomnianej, witalną tajemnicą. – To nie jest śmieszne! – zawołała, ponizona błędnie zrozumianym uśmiechem na twarzy lidera.

– Dać wrócimy do gryzy, to ugonie ci buczne wyrki i wigo trepki – obiecał Sidday, z trudem utrzymując wzrok, jak ujadającego psa na smyczy, z daleka od wrażliwych miejsc dziewczyny.

– Dziękuję – z szarmancką wdzięcznością wyznała Lena i rozbłysła uśmiechem tak promienistym, że musiała przy tym zmrużyć powieki, by nie przyćmić Słońca tęczą swych ust krwistej czerwieni, oczu soczystej zieleni i włosów jaskrawej miedzi.

Obez władniony jej wdziękiem i zatruty własnym wstydem Sidday szukał oswobodzenia w rozporządzeniach wydawanych władcym tonem. Krótkimi komendami wysłał część chłopaków na zwiady, by zbadali interes nadzorczyńni w mieście, a reszcie kazał wrócić do narzuconych z góry grafikami zadań. W roli lidera sprawdzał się doskonale. Był pewny siebie, odważny, sprawiedliwy i zdeterminowany, by utrzymać Synogę w ryzach. Dbał o jej dobro, pilnował obranego kierunku i jak kapitan okrętu budował wokół siebie zgraną załogę.

– Hulamy? – zapytał dziewczynę, podbudowany przewidywalnym posłuszeństwem chłopaków, którzy rozpiechli się, zostawiając ich samych pod stajnią.

– Oni nie idą z nami?

– Nie, gnierają repki. No i w siedlach lepiej nie hulać bajdą, bo czarni rondują i scalają od razu.

– Ale ja też mogę iść na akcję! – przyrzekała Lena, gotowa zrobić wszystko, by udowodnić swoją lojalność.

– Bez trepek? – zapytał Sidday i spojrzał na jej gołe, czarne stopy i palce, którymi chwilę ze wstydu poruszała, jakby sprawdzała, czy są wciąż sprawne.

– No tak – przyznała dziewczyna trochę załamana. Zaraz odrodziła się jednak uśmiechem i znów skurczyła ramiona, rysując przepiękny horyzont zielonych oczu.

– To co? Hulamy, to znaczy, idziemy?

– Tak jest! – odpowiedziała i ruszyła u boku lidera w stronę zardzewiałej bramy.

Szli nierówno, kalecząc tempo, jak w pierwszym tańcu, bo ona wymijała kamienie, a on co chwilę dla niej zwalniał, sprawiając, że natychmiast przyspieszała, próbując utrzymać ich w ogóle w ruchu. Tak splątani niezgrabną grawitacją przesadnej uprzejmości dotarli do granic lotniska, gdzie czekała płyta startowa usiana ostrymi kawałkami betonu. Kontrując ból i zmęczenie walecznymi uśmiechami, Lena raz po raz przystawała, by złapać oddech i strzepnąć ze stóp klejący się betonowy pył. Sidday prezentował wtedy ramię, stabilne oparcie, pomagając jej utrzymać równowagę. Za każdym razem w zamian otrzymywał śliczne podziękowania, które szybko zaczęły rozśmieszać oboje powtarzalnością niemal formalnej już ceremonii.

W połowie drogi przez rozgrzane Słońcem lotnisko lider ściągnął z pleców skórzaną marynarkę, odsłaniając wypiętą do przodu pierś i blizny na lewej, podstawionej dziewczynie w formie podpory ręce.

– Skąd masz te szramy? – od razu zapytała Lena.

– Walczyłem z szablem i niedźwiedziem – odruchowo stwierdził chłopak, tak jak to robił już setki razy.

– Co? – dziewczyna zareagowała błyskiem zdziwienia i wybuchnęła bezwstydnie śmiechem. – Niedźwiedzi nie ma już w Europie od dobrych kilkudziesięciu lat! – mówiła, trzymając jego ramię i otrzepując założoną na kolano stopę.

– To przez upsa, to znaczy wypadek – natychmiast przyznał Sidday, skruszony wstydem i wrażeniem, że kłamstwem tylko wzbudza w niej pogardę. – Jeden złomek warał mnie zgryźnić.

– Musiało boleć.

– Nie bardzo – zaprzeczył, znów słowem wychodząc przed myśli zatrute skrępowaniem, które kazało mu jak najszybciej zmienić temat. Odkrywanie przeszłości przed dziewczyną okazało się zadaniem trudniejszym niż przeprowadzenie jej na drugą stronę patrolowanego regularnie przez siły DARPA lotniska. – Obto spijać Kasmira. On tylko tak dużo cytra.

– Cytra?

– Cytra, czyli... no... mówi – tłumaczył Sidday, wertując zakamarki pamięci w poszukiwaniu słów, którymi chętnie by teraz zabłysnął.

– Cytra, czyli dużo gada – Lena odnotowała z chłodem elektronicznej notatki i opuściła odkurzoną nogę gotowa do dalszej drogi. – Idziemy? – zaproponowała, a po paru krokach zapytała: – Wrzuciliście kiedyś kogoś do wilka?

– Nie, no co ty. Nie robimy tak.

– Co to w ogóle jest wilk?

– To taki złomek, znaczy no... do metalu, do cięcia – dukał Sidday, w myślach zlorzczając wielkomowie, z której chciał się wyrwać, ale nie potrafił.

– To okropne. Dlaczego ktoś chciałby do takiej maszyny wrzucać ludzi? – zapytała Lena i jęknęła z bólu. Z nieuwagi stanęła na ostrym kamieniu.

– Dać wachtałem w hali, to tam czarni, jak scalili jakiegoś raczka, to znaczy no... tero... tero...

– Terrorystę?

– No tak, to jak scalili takiego terystę, to pstrykali go do wilka i my to ciurzyli golić, znaczy patrzyliśmy na to – gorączkowo opowiadał – ale patrzeć to mało, bo gorzej było bertać, to znaczy słuchać, bo dźwięki...

– Przestań! – błagała Lena, zakrywając dłonią usta, zmrożona w miejscu okropnym obrazem.

Sidday zrozumiał swój błąd. Rozmawiał z osobą, której obce były okropieństwa hal. Dziewczyna miała inne wychowanie, wrażliwość, osobowość, spojrzenie na świat, no i przede wszystkim płęć. Taka oczywistość, a tak łatwo mu umknęła.

– My jesteśmy inni! – zaczął się tłumaczyć, stając w obronie swojej organizacji. – Tu wszyscy są równi, nikt nie jest wyższy! Ja próbuję edzić, uczyć bonki, chłopaków i dziewczyny też, by robili dobrze – łamał zdania w nierównej walce z dawno nieużywanym językiem. Z każdym słowem rósł w nim gniew do własnej ułomności.

– Wiem, rozumiem – Lena próbowała wybawić go z zakłopotania. – Wierzę, że jesteście inni, dlatego właśnie chciałam was poznać i do was dołączyć. Na północy jest już głośno o Synodze. Prawie każdy nastolatek, jakiego spotkałam, słyszał o tobie, a sporo z nich chciałoby dołączyć do was. Imponujesz im.

– Ja byłem dać oni – przyznał Sidday, podróżując wspomnieniem do mrocznych dni odmierzanych bezmyślną pracą. – Wachtałem dużo, ale poznałem jednego przodka, starszego. On był inny i cytrał sporo o czasach przed Wielkim Planem. Lubiłem uszać, znaczy słuchać tych historii. On mnie edził też słów, a im więcej ich wyedziłem, tym bardziej kirałem halę.

– I uciekłeś w dniu wybuchu – dokończyła jego myśl Lena, zgrabnie omijając kolejne kamienie. – Miałeś szczęście – dodała, jak motyl skacząc z jednej czystej wysepki na drugą.

– Ale on nie miał.

– Ja też miałam nauczyciela – przyznała dziewczyna, gotowa podzielić się swoją opowieścią. – On dużo mnie nauczył, głównie historii świata, ale też nauk ścisłych. Lubiłam go, był bardzo miły i dobry

dla mnie. Potrafił pięknie opowiadać o Wielkim Planie i o tym, co naprawdę miało znaczenie, ale mojemu ojcu się nie spodobał, więc wysłał go do jakiejś hali i nawet mi o tym nie powiedział.

– To bono wyrałaś? – zapytał Sidday, chłostany jej drżącym od katongi stóp głosem.

– Wyrać to znaczy uciec, tak? – próbowała zrozumieć. – To było dużo wcześniej. Ja uciekłam, bo przypadkiem dowiedziałam się czegoś okropnego – stwierdziła i stanęła z widocznie ciężkim na piersi oddechem. – Strasznie ponure to miasto – wyznała wpatrzona w rozległe ruiny za krańcem lotniska.

– Ponure?

– Smutne, apatyczne, szare, podupadłe, bez radości, zgnębione – ciągiem wymieniała Lena – a kiedyś było inne, żywe i pełne zabytków. Ten nauczyciel dużo mi o Welmond opowiadał, chociaż ja zawsze wolałam historię Dalekiego Wschodu.

– A gdzie to?

– Gdzie? Na wschodzie! – złośliwie zażartowała, tym razem tylko odrobinę wznosząc z uśmiechem ramiona. – Mówiłam o Chinach na przykład. Kiedyś to był niesamowity kraj, bardzo bogaty kulturowo, a teraz już w zasadzie nie istnieje. Po wojnie rozpadł się na drobne regiony, które do dziś ze sobą walczą. Szkoda, bo chciałabym zobaczyć Miasto Lijiang, albo Świątynię Nieba, zanim znikną na zawsze.

– Li co? – pytał Sidday, próbując odszyfrować tajemnicze słowa wychwycone spośród długich i zawitych jej zdań. – To siedla?

– Dziś to już zabytki, pozostałości dawnych cywilizacji – tłumaczyła Lena, powoli odpływając wzrokiem w przestworza. – W przysposobieniówce nie mieliście historii?

– Nie. Na notkach edzili... uczyli nas tylko obsługi tych, no... maszyn – chłopak kleił zdania usiane przyzwyczajeniami wielkomowy. – Historii to jarzę tyle, ile mi Henry cytrał. Wiem na przykład, że była kiedyś ta, no... Unia Europejska, a potem ZN – pochwalił się, napęliając dumą, jak dobrym obiadem.

– To już coś – pogratulowała mu dziewczyna i opuściła głowę, gasząc uśmiech. Zawisła wygięta w łuku nad ziemią.

– Wigasz? Może cię, ten no... ponieść?

– No co ty, nie musisz – Lena odmówiła tłącym się ledwo głosem. – Dam radę. Muszę tylko trochę odpocząć – przysięgała, wsiąkając ciałem w grunt i gubiąc rytm oddechów, których szum dzwonił w uszach chłopaka ewidentnym wołaniem o pomoc.

Dręczony instynktowną potrzebą reakcji Sidday objął rozkołysaną na wietrze sylwetkę dziewczyny, gotowy chwycić ją pod kolana i dźwignąć w akcie bohaterstwa, ale zamiast odegrać chwalebny scenę, dostał cios w podbródek i pchnięcie taranu.

– Przestań! – ryknęła Lena, jak salwą armatnią, niosąc echo odrzucenia przez całe lotnisko. – Mówiłam, że dam radę – ze złością dodała, poprawiając sukienkę w zapamiętanym geście złudnej kontroli, choć budzącym już tylko litość.

– Warałem pomóc, bo hulamy tak leniwie, że do nocy nie będziemy w grazach – narzekał Sidday, w słowach zamykając bolesne upokorzenie.

– Przepraszam – Lena natychmiast wysnuła z ust skruchę, biorąc na siebie ciężar całego nieporozumienia. – To moja wina, ja... ja... – próbowała się tłumaczyć, ale jej głos zawisł w próżni urojenia. – Musi być stąd jakieś wyjście... – ponuro brzmiała, nagle od ziemi oderwana.

– Co ty cytrasz?

– ...powiedział błazen do złodzieja. Jest zbyt wiele zamieszania...

– Lena?

– ...nie mogę znaleźć ukojenia – dokończyła i obłędem zgaszona rozsypała się jak wieża, wprost w ramiona Siddaya, który podniósł ją bez trudu i ułożył wygodnie w rękach.

– Dać pielilem, waży może trzy worki piór – obojętnie stwierdził chłopak i pomaszerował dalej.

Gdy tylko Lena otworzyła oczy, dopadł ją dudniący ból głowy, jakby zamiast czaszki miała dzwon, wibrujący od uderzeń stalowego wewnątrz młota. Położona horyzontalnie na jakimś miękkim łóżku z niewygodnym zagłębieniem na środku, wpatrywała się w chropowaty popękany sufit, z którego na jednej sznurówce zwisał but przyklejony dziwną żółtą gumą. Intensywnie rozmyślała, jak tam trafił, kalkulując prawdopodobieństwo, że zaraz spadnie jej na twarz. Wolałaby tego uniknąć, ale wizja poruszenia którąkolwiek kończyną nie mniej ją przerażała. Nawet oddychanie było dla niej bolesne, a

sztwywny kark nie pozwalała obejrzeć pokoju, więc niczym odlana ze stali leżała jeszcze kilkanaście minut, zbierając odwagę i walcząc z przepełnionym pęcherzem.

W końcu, jednym ruchem, nie ostrzegając siebie, podniosła plecy i usiadła na skraju sofy. Uwolniła z zaciśniętych oczu kilka łez, które spłynęły po policzkach, mijając wydające mysi pisk usta i spadły na ziemię obok wygiętych w dwa koślawe łuki stóp. Szorstki zimny beton wbijał się w jej podeszwy, lodowatymi soplami rozcinając skórę i penetrując mrozem po same kolana, a od nóg bardziej bolały ją tylko plecy i posiniaczony brzuch. Kiedy szklisty sztorm zelżał, na chwilę odmrażając zmysły, dziewczyna dostrzegła stojący przed nią malutki, obdrapany z farby stolik, a na nim miskę z kawałkami chleba w warzywnej papce. Nie szukała sztućców, nie myślała o higienie, tylko zajadała się, przetykając pieczywo razem ze wstydem bagatelizowanej etykiety. Najedzona i odrobinę przyzwyczajona do bólu mogła wreszcie obejrzeć pokój, którego przeznaczenie uwydatniało sześć różnorodnych łóżek, przykrytych kocami z wojskową precyzją. W pomieszczeniu tkwiła też ogromna, wyglądająca na bardzo starą, plastikowa szafa podpierana przez dwa metalowe, zastępujące nogi, pudełka narzędziowe.

Lena wstała, zaciskając zęby z bólu, i kulawym krokiem podeszła do trzech przestrzennych okien. Wybrała środkowe i wyjrzała na zewnątrz, mrużąc oczy atakowane popołudniowym, ciepłym światłem. Była na czwartym piętrze jakiegoś domu w mieście, na którego zgłiszczach wyrastał port ewakuacyjny, niczym wrzód rozchodzący się po dzielnicach promieniście rozstrzelonymi czterdziestoma trzema korytarzami. Uwagę dziewczyny przyciągnął ruch na placu przed budynkiem, gdzie niewzruszony młody chłopak wysłuchiwał argumentów dwóch dorosłych kobiet. Jedna z nich, o pięknych i jak zboże jasnych włosach, odważnie gestykulowała, wygłaszając przez chwilę najwidoczniej nieskuteczny monolog. Szybko zrezygnowała i chwyciła swoją partnerkę w pas, racząc ją zmysłowym pocałunkiem i dając dzieciakowi rozkosznie seksualny pokaz.

– Faceci – prześmiewczo burknęła Lena, odwracając się plecami do okna. Od razu dostrzegła po drugiej stronie pokoju równo złożone na kupce ubrania, które leżały przy niewidocznej wcześniej wnęce skrywającej prowizoryczną łazienkę. W środku czekały na nią podgrzewana płyta grzewczą wanna, toaleta, a nawet podstawowe urządzenia pielęgnacyjne zasilane z tyranitowej kostki. – Faceci – powiedziała raz jeszcze, tym razem z dużą dla nich dozą podziwu.

Ściągnęła za ciasną sukienkę, odkrywając czerwone odciski na ciele, ukoiliła potrzeby natury, wskoczyła do wanienki i wzięła pierwszą od paru dni kąpiel. Znów wpatrzona w sufit rozpląnęła się w ciepłej wodzie, zapominając o świecie, siniakach i czasie. Przymknęła oczy, wpadając w półsenną marę, przeplataną pasożytniczymi obrazami płonących lasów, a przytomność odzyskała dopiero na dźwięk otwieranych drzwi. W panice wyskoczyła z wanny i nabiła sobie kolejnego guza, rozpaczliwie poszukując ręcznika. Nie znalazła go, więc wciąż schowana za ścianą chwyciła złożone przy progu wnetki ubrania i pospiesznie je włożyła, miło zaskoczona jakością ich wykonania.

Biała koszula z krótkimi rękawami z delikatnego, modyfikowanego poliestru zamiast guzików, do których Lena była przyzwyczajona, miała sznurki pozwalające dowolnie zacisnąć ją na całej wysokości. Z podobnej tkaniny, ale w wyblakłym żółtym kolorze, dziewczyna dostała szerokie spodnie, wyjątkowo luźne u góry, ale zwężane i podwiązywane tuż za kolanem. Chłopcy zapomnieli o bieliznie dla niej, ale przygotowali wygodne buty zszyte z jednego kawałka jakiegoś sztucznego, ale przyjemnego w dotyku materiału. Tak odświeżona i odmieniona Lena wyskoczyła zza ściany, robiąc z radości zamaszty obrót wokół własnej osi.

– Mierzą ci te putki? – zapytał młody chłopak, bez wyrazu wpatrzony w tańce dziewczyny.

– Putki?

– No, te putki, co gnierasz na tyłku.

– Są świetne! – odpowiedziała Lena, przekuwając w słowa całą swoją wdzięczność.

– Bonki ich nie warali, bo za małe.

– Mnie pasują idealnie! – zapewniała dziewczyna. – Koszula też jest naprawdę ładna i wygodna. Skąd macie te ubrania?

– Wyrki sobie sami dziaramy, a matki śląpamy – tłumaczył chłopak. Zachowywał stoicki spokój i wpatrywał się w dziewczynę, jak w wariatkę i obcą formę życia zarazem. Nie był niemiły, ale wyraźnie trzymał dystans, uwydatniając dojrzałość sztucznie zaniżonym głosem.

– Dziękuję za wszystko, za jedzenie też – wyrażała wdzięczność Lena, uginając lekko plecy i gasząc w ziemi wzrok, jak mistrz pradawnych sztuk walki. – Jak się nazywasz... to znaczy mienisz? – zapytała chłopaka.

- Helter. Jestem szkolnikiem Siddaya.
- Szkolnikiem? A co to znaczy?
- No repki daje dać go nie ma. Hulamy zaraz na jedną – chłodno informował Helter – i Sidday kwestuje, czy warasz hulać z nami? Warasz?
- No pewnie! – zawołała Lena, nie do końca świadoma na co się zgadza. – Jeśli tylko mi pozwolicie – natychmiast dodała, skruszona dostrzeżonym grymasem niezadowolenia na twarzy chłopaka.
- Dać nie zwędzisz, to obto hulać. To farowo jest.
- Dam radę – zapewniła z szerokim uśmiechem, mrużąc przy tym na swój sposób oczy. Gdy je otworzyła, Heltera już nie było, więc w panice wybiegła z pokoju i prawie wpadła mu na plecy. Choć go nie dotknęła i tak przeprosiła, po czym zamilkła skrępowana, jak kadet w trakcie pierwszej swojej musztry. Towarzysząc chłopakowi niczym cień, wyszła na plac zalany pulsującym Słońcem, gdzie niedawno dwie kobiety wyhandlowały coś jednym soczystym pocałunkiem. Pogodna duszą i zwiewna ciałem Lena z daleka przyciągała wzrok Siddaya.
- Cześć – powiedziała, wdzięcząc się nową, schludną garderobą, jak modelka na wybiegu.
- Jola – wszyscy po kolei powtarzali za liderem.
- Dziękuję za jedzenie i ubrania. Przepraszam też, że musiałeś mnie nieść – oświadczyła dziewczyna, znów grzecznie pochylając głowę.
- No tak – bezmyślnie odparł Sidday, wpadając wzrokiem w jej lekko rozchylony dekolt.
- Czysta, wyspana, najedzona i dobrze odziana przyciągała uwagę, niczym astronomiczna osobliwość światło, ujmując krążące wokół spojrzenia, łapiąc je w sidła uwielbienia i miażdżąc niewyobrażalne pragnienia nieprzekraczalnym horyzontem wiecznego niespełnienia.
- To... co to za repka? – zapytała Lena ogół milczeniem zaklętych chłopaków.
- Zcytram ci po drodze – zarządził Sidday i pierwszy złamał czar, odwracając się na pięcie i ruszając przed siebie, przez chwilę, jak robot puszczony w ruch, idąc nie w tę, co trzeba, stronę.

Ich celem była stacja transportowa w dzielnicy Wanów, przez którą siły DARPA sprowadzały do miasta broń, wyposażenie i posiłki. Synoga miała już w niej kilku swoich szpiegów, a teraz, po zmianie dowódcy portu, nadarzyła się okazja, by przekupić również i jego. Gdyby odnieśli sukces, grupa zyskałaby tak niezbędną do przetrwania informację o ruchach, liczebności i uzbrojeniu wojska. Może nawet wynegocjowaliby dla siebie jakąś broń. Zachęceni potencjałem tej misji, chłopcy przemierzali miasto opuszczonymi dzielnicami, korzystając z przesmyków, podziemi, ruin, idąc na przelaj, po niemal prostej linii, jakby to były ich własnym wysiłkiem i doświadczeniem wytyczone autostrady. Gruzowiska, zasypane uliczki, szkielety budynków przenikali, jak wiatr, niepostrzeżenie, znając każdy kamień, zapadlinę, pęknięcie w stropie.

Tylko Lena, niczym niezgrabna nowicjuszka zagubiona w gąszczu miasta, walczyła z każdym krokiem, próbując nadążyć i nie zniszczyć sobie ubrań. Spowalniała grupę i czuła się z tym okropnie, bo wiedziała, że po raz kolejny była ciężarem, problemem, przeszkodą i żaden uśmiech, nawet najpiękniejszy, już jej nie pomoże. Miała ochotę wybuchnąć płaczem, usiąść, schować twarz między nogami i zalać łzami bladożółte spodnie, ale szła dalej, automatyzując ruchy, odmawiając zmęczeniu uwagi i pustosząc z wycieńczenia myśli.

– Warasz ciachnąć? – zapytał Sidday, odwrócił się w jej stronę i piersią, niczym ścianą, zatrzymał rozpędzoną głowę dziewczyny.

– Au, co? – wydukała Lena, przerażona nagłym uderzeniem. – Co? – powtórzyła w panicznym ataku, jaki często towarzyszy nagłemu ze snu wyrwaniu.

– Odpocząć, czy chcesz odpocząć.

– Mogę hucać, hulać! – zapewniła przysięgą niewolnika, którego życie zależy od tego, czy jest w stanie jeszcze maszerować. Wierząc błagalnym spojrzeniem oczy Siddaya, chwytając łączywie powietrze z płonną nadzieją dziecka, że nikt tego nie zauważy. – Naprawdę! – dodała prawie z płaczem, ku ucieście chłopaków, którzy rozsiedli się w ruinie jakiegoś domu na betonowych blokach. Jak konie rzeli śmiechem bez zahamowań.

– Gnieraj – powiedział lider i podał jej wodę. – Mamy borek, znaczy... no... – szukał słowa.

– Przerwę – dokończył za niego Helter i klepnął ramię Siddaya, lekkim skinieniem głowy potwierdzając, że nikt ich nie śledził.

Byli w jednym z kilkudziesięciu punktów postojowych Synogi, skrywających prowiant i służących jako schronienie, a nawet nocleg, jeśli zadania chłopaków tego wymagały. W starym, jak sito dziurawym budynku dziewczyna siedziała parę metrów od grupy, na kawałku schodów kiedyś prowadzących na drugie, dziś nieistniejące już piętro. Przysłuchiwała się rozmowom w języku, którego jeszcze nie rozumiała. Skupiona na utrzymywaniu prostych pleców i równoległego względem siebie ułożenia stóp przyjmowała ciosy rzucanych w jej stronę drwiących spojrzeń. Zasłaniała się przyjaznym uśmiechem i tarczą pozornej pewności, w sercu jednak krwawiąc zwątpieniem.

– Hej, pióra? – zaproponował Sidday, podchodząc do niej z kawałkiem chleba w ręce.

– Nie trzeba – odpowiedziała Lena, czując się niegodna oferowanej dobroci.

– Będziesz tylko goliła repkę, okay?

– Goliła, czyli patrzyła, tak? – potwierdziła, naśladując żołnierski salut, z przesady uderzając się boleśnie palcami w czoło. – Długo tak działacie? – szybko zapytała, by zachłannie zatrzymać Siddaya przy sobie na dłużej. Potrzebowała go teraz bardziej niż chleba.

– Działacie?

– No... Synoga jak długo istnieje.

– Trochę, ze dwa lata, a co?

– Bardzo mi się podoba jak to wszystko zorganizowałaś.

– Później pocytramy – chłopak próbował uniknąć dyskusji, zakłopotany nie mniej niż ona.

– A teraz nie możemy? – zapytała Lena, skulona jak psiak na deszczu, szklącymi się oczyma błagając o szczyptę uwagi.

– No...

– Proszę.

– Bonki ci nie wiarą dać ja – mówił Sidday, czując na plecach spojrzenia grupy. – Jesteś pirką Andersa, to problem.

– Dziękuję! – wykrzyczała Lena i w jednej chwili odzyskała całą radość życia, błyszcząc jak szmaragd w piasku.

– Za co?

– Za to, że mi ufasz. Zrobię, co trzeba, by przekonać innych. Powiedz tylko co!

– To nie takie tulne, to znaczy szybko ci nie zwiarają, bo... – próbował tłumaczyć chłopak, nagle gubiąc szyk słów w gasnących oczach dziewczyny. Jej chwilowy przebłysk radości sprzed chwili zwiastował tylko seraficzną śmierć nadziei. Teraz opuszczona, porzucona, zgarbiona mokła w deszczu apatii i zwątpienia. Jak podcięty ostrzem, Sidday padł na kolano, próbując chwycić odpływające w mrok nocy spojrzenie dziewczyny. – Gładze cię, to znaczy rozumiem – mówił. – Nicasz się, bo jesteś wybita, samotna, ale to tylko chwilę, oni zajarzą w końcu i będziesz w bajdzie dać zwali – obiecywał, próbując łączyć słowami pulsujące krwią rany. – Wigasz? – pytał, jak nigdy łaknąc jej uśmiechu.

– Pomogę ci – zdecydowała Lena, podciągając odważnie spojrzenie.

– Pomożesz?

– Pomogę ci rozbudować Synogę. Pomogę ci nauczyć się języka. Pomogę ci naprawić świat – mówiła tak, jakby to wszystko było możliwe w obrębie trwającego jeszcze dnia. – Podoba mi się to, co robicie, to jak odnajdujecie drogę pośród zgliszczy. Mój ojciec zniszczył Ziemię, ja mogę ci pomóc ją odbudować.

– Warasz budować Ziemię?

– Tak! Nową, lepszą, piękniejszą, sprawiedliwszą! – żywo wymieniała Lena, czerpiąc energię najwyraźniej z powietrza. – Mam nadzieję, że ty też chcesz. Chcesz? – zapytała z kruchością, która odmowy by nie zniosła.

– No tak – przyznał chłopak, odurzony jej nagłym emocjonalnym zrywem.

– I ja ci w tym pomogę. Zbudujemy nowy świat!

– Zbudujemy... – powtórzył po niej Sidday, powoli zarazany wizją wielkich zmian.

– Urośniemy w siłę!

– Urośniemy...

– Przejmiemy okręty...

– I polecimy w kosmicę, to znaczy kosmos! – przyrzekł Sidday, pęczniejąc w jej oczach entuzjazmem, który wzajemnie spijali ze swych ust, skapani w marzeniach nowego początku. Tak zamknięci w chwili żyli swoim światem, zjednani, zrównani i zdecydowani. W oczach siedzących obok chłopaków wyglądali jak odurzeni sfermentowanym sokiem owocowym.

– A warzył tylko puszknąć jej pióry – skomentował jeden z dzieciaków rozczarowany postawą lidera.

– Hulamy? – zaproponował Sidday, wstał z kolana i niczym rycerz wyciągnął w stronę Leny dłoń.

– Hulamy! – dziewczyna odpowiedziała i przyjęła jego gest, gotowa do drogi, pełna energii, znów onieśmielając wdziękiem szesnastoletniej, pogodnej i pełnej uroku nastolatki. W oczach zebranych w budynku zwolenników Synogi dokonała niemożliwego, w parę minut przekupując i doszczętnie deprawując ich lidera.

Do obserwacji stacji transportowej chłopcy wybrali niewielkie wzniesienie skierowane wprost na główną, dobrze strzeżoną bramę bazy. Chronił ją wysoki płot, regularnie rozstawione wieżyczki strażnicze, kilkadziesiąt żołnierzy i samo położenie pomiędzy rzeką a otwartą, rozległą równiną. Stopień ufortyfikowania miejsca nie miał jednak znaczenia, bo Sidday nie zamierzał walczyć. Skończył już z napaściami na transporty, punkty żywnościowe i magazyny. Teraz wołał negocjować, handlować, przekupywać strażników towarem, współpracą i obietnicami, tak jak niespełna godzinę wcześniej zrobiła to Lena. Dopiero teraz dotarło do niego, jak drastyczną, ale słodką poniósł porażkę, pozwalając jej wciągnąć się w szytą egzaltowanym szczęściem wizję świata. Nie czuł z tego tytułu żalu, bo i tak postanowił zaufać dziewczynie już wtedy, gdy niósł ją do bazy Synogi, lekką jak piórko i wycieńzoną, ale wciąż czarującą.

– To on – zgłosił Sidday, obserwując ruch przy bramie. – Jest przy furtce – dodał i przekazał wojskową lornetkę swojemu zastępcy. – Postulcie tu na życzy gwizd, okay? – rozkazał i pomaszzerował w stronę stacji otwartą przestrzenią, po błocie i kamieniach niegdyś zielonych nadrzecznych pól.

– To chyba niebezpieczne? – zapytała Lena, jak inni, ułożona na schyłku zbocza. – Oni mogą zacząć strzelać.

– Nie – zaprzeczył Helter z uspokajającą obojętnością. – Już tydzień temu spaktowaliśmy z czarnymi wymianki. My im rulony, oni, na razie, miedzą co i kiedy hula.

– Rulony?

– Do dychania, no te żółte krzaki – z powagą wyjaśniał chłopak, pokazując, że nie wiek w Synodze ustalał hierarchię, a odwaga i dojrzałość, których trzynastolatce nie brakowało. – Sidday puszknie im trochę rulonów i ugodzi spotkanie z wysokim. Obza, czy słapną dać mobil, czy raby...

– Coś hula – zgłosił dzieciak obok i pokazał chmurę kurzu na horyzoncie, wznoszoną przez konwój pędzących w stronę stacji ciężarówek. Ich widok zawiesił serca w przełykach chłopaków, bezradnie wpatrzonych w piaskową strzałę gnającą wprost na bramę.

– To chyba niedobrze? – zmartwiła się Lena. Szturchnęła sztywnego na ziemi Heltera. – Musimy ostrzec Siddaya, pomóc mu...

– Za późno – burknął zastępca lidera, wciąż przyklejony do lornetki. Nie spuszczał oka z pojazdów, które na pełnej prędkości zajechały pod stację, agresywnie hamując i wzbijając w niebo jeszcze większą chmurę pyłu. Z tyłu ciężarówek, jak pociski z karabinu, wyskakiwali żołnierze sił specjalnych, obstawiając całą okolicę. Na samym końcu, gdy tylko zamęt przy bramie opadł, wysiadł ich dowódca. – To dać major z brutów. Nie głądź go – powiedział Helter.

– Skąd wiesz, że major? – zapytała Lena, próbując przypomnieć sobie szczeble hierarchii wojskowej.

– Ci z brutów nie cirzą rang, bo się nie straszą.

– Brutów... – cicho powtórzyła, podkreślając sobie znamienne szorstkość sylab. Z dłonią, jak daszkiem, na czole, by chronić przed Słońcem oczy, wypatrywała Siddaya pośród masywnych sylwetek ciężko uzbrojonych żołnierzy, którzy wilczą watahą otoczyli swoją ofiarę. Ich dowódca, jedyny bez opancerzonych biomechanizmów, trzymał coś błyszczącego w dłoni, czym szczyił się tuż przed twarzą powalonego na ziemi chłopaka. Gdy Lena rozpoznała, że to broń, wbiła palce w ziemię, wygięła grzbiet jak kot i wystrzeliła sprintem krótkodystansowca, zostawiając po sobie tylko zawirowanie powietrza.

– Pala?! – krzyknął Helter i próbował chwycić ją za kostkę, ale ona pomknęła lekko i zwinnie, niczym wiatr głaszczący kłosa zbóż, i tylko rudymi włosami iskrzyła na Słońcu, zapowiadając rychłe swe przybycie żołnierzom.

Ich dowódca wyszedł na spotkanie pędzącej jak pociąg dziewczynie. Schował pistolet do kabury i poprawił kołnierz galowego munduru, by z prześmiewczym szacunkiem przywitać skąpaną w błocie pannę.

– Zgubiłaś buty – powiedział z bezmyślnym rozbawieniem i uprzejmością, jakimi potrafili błyszczeć tylko najokrutniejsi zbrodniarze.

Wycieńczona nagłym biegiem i rozgoryczona zabranym jej przez breję obuwiem, Lena wżarła się w duszę oficera głodnym zagłady wzrokiem drapieżnika.

– Czego tu szukasz?! – natychmiast zareagował mężczyzna, warcząc jej prosto w twarz.

– Protokół dwadzieścia pięć zero jeden.

– Co?

– Protokół dwadzieścia pięć zero jeden – wolniej powtórzyła Lena, zerkając w stronę Siddaya, który leżał parę metrów dalej wgnieciony w ziemię żołnierskim butem.

– Dlaczego taka mała sprinterka posługiwałaby się wojskowymi protokołami? – zapytał major, robiąc krok w bok, by zasłonić jej widok.

– Masz obowiązek sprawdzić podany protokół.

– Mam obowiązek? – mruknął oficer wyraźnie obrażony. – Moim jedynym obowiązkiem jest rozstrzeliwać takie szkodniki jak wy i ci zdrajcy! – krzyknął, uwalniając gniew spod maski fałszywej uprzejmości. Wskazał wibrującym w powietrzu palcem dwójkę strażników przy bramie, których żołnierze sił specjalnych na rozkaz zrównali z piachem.

– Sprawdź ten cholerny protokół! – ryknęła Lena i poniosła echem furię aż na wzgórze, gdzie oddech wstrzymywali Helter i reszta drużyny.

Oficer skrzywił parszywy uśmiech, a potem pożarł ją od stóp chciwym wzrokiem.

– Nie wyglądasz mi na robotnicę – stwierdził. – Komu uciekłaś, co?

– Protokół.

– Zarządcy portu? – pytał.

– Protokół – powtarzała Lena, niezmiennie wierząc mu szmaragdowym wiertłem otwór w czole.

– On zbiera takie rude jak ty – stwierdził oficer i podszedł bliżej dziewczyny. – Pokaż mi tatuaż – zażądał, sięgając dłonią za jej ucho, ale nic nie zobaczył, bo oczy zasły mu łzami. Z mysim piskiem padł na kolana, trzymając pulsujące lawą krocze i zaciskał zęby, plując przekleństwami.

– Albo sprawdzisz protokół – szeptała mu blisko ucha Lena – albo poproszę ojca, żeby pozwolił mi cię wykastrować tuż przed egzekucją.

Cisza wypełniła na powrót czarne wybrzeże, rzeźbiąc moment wyczekiwania na katastrofę w skale sylwetek oficera, dziewczyny i dwóch żołnierzy, którzy zdążyli przystawić jej broń do głowy.

– Majorze? – jeden z nich przełamał klincz nurkującej w przepaść konfrontacji.

– Majorze? – Lena powtórzyła z nadgorliwą dbałością o dźwięczność słowa. Jednocześnie powoli i płynnie spojrzeniem wsuwała mu ostrze wszechogarniającego terroru w krtań.

– Kim jesteś? – zapytał dowódca topiony strachu posoką, a potem z wygiętą wargą zdeformowanego uśmiechu próbował obrócić sytuację w głupi żart. – Niech ci będzie – w końcu ustąpił. – Sprawdzę protokół, tylko potrzebuję jeszcze hasło.

– Avalon króla Artura – powiedziała Lena nieprzejęta przytkniętymi do głowy lufami karabinów.

Major podniósł przedramię i na jego wewnętrznej części wzrokowo wpisał odpowiednie komendy, a potem zastygł, jakby czas go pominął, by ostatecznie wypluć z ust słowo:

– Rozumiem. – Nic jednak nie rozumiał. – Czekam więc na rozkazy – wycedził z obrzydzeniem.

– Nareszcie! – dziewczyna podziękowała z ulgą niebu. – Wracajcie tam, skąd przyjechaliście. Zajścia nie było. Wykonać! – ryknęła w twarz mężczyźnie, który powoli zawrócił, napięty jak sprężyna, machnął na swoich podwładnych i ruszył z powrotem do ciężarówki mało estetycznym okrakiem.

Gdy chmura kurzu obwieściła odjazd żołnierzy, Lena podbiegła do Siddaya, pomagając mu oczyścić twarz z piachu.

– Musimy stąd uciekać – powiedziała z przerażeniem – bo oni mogą zaraz wrócić! No rusz się! – Szarpnęła za koszulę zdezorientowanego lidera, któremu z ust płynęły tylko ciche niedowierzania. – Nie teraz, chodź! – nalegała, ciągnąc jego ramię jak klamkę zatrzaśniętych drzwi. Dopiero po solidnym, bezsilnością motywowanym kopniaku zdołała zmusić go do biegu. Potykając się o nierówne fałdy wilgotnej ziemi, dłońmi złączeni, biegli razem w stronę wzgórza, gdzie Helter czekał na nich z oczywistym pytaniem.

– Co to było?

– To taka mała pamiątka z dzieciństwa – odezwała się zdyszana Lena – ale drugi raz nie zadziała. Chodźcie – nalegała, nie przystając w miejscu. – No dalej! – poganiała grupę, prowadząc chłopaków, jak nieme owce, w powrotną drogę. Na chwilę przejęła rolę lidera, którego trzymała wciąż za dłoń. Tak ciągnąc wycieczkę przez miasto, nabuzowana, bosa i podziwiana, opowiadała. – To mój ojciec stworzył taki system protokołów dla wojska, choć teraz korzystają z niego głównie politycy i oligarchowie. Wiecie kto to? – zapytała, nie tracąc jednak czasu na tłumaczenie niuansów. – Ten system działa na zasadzie odgórnych rozkazów, takich nadrzędnych, no wiecie. Mając numer protokołu i hasło, możesz go aktywować i pierwotnie, to znaczy, na początku – wyjaśniała, zbyt nakręcona, by dbać o słowa – chodziło o to, żeby żołnierze na tajnych misjach mogli się zidentyfikować. Z tym, że rozkazy mogą dotyczyć czegokolwiek. Dawno temu, trochę dla zabawy, ojciec stworzył dla mnie jeden taki protokół.

– I co twój warzy? – zapytał Sidday, czerpiąc niewytłumaczalną przyjemność z faktu, że dziewczyna tak łatwo go ubezwłasnowolniła.

– Mój daje mi tymczasowo stopień generała broni – przyznała Lena i złowieszczo zachichotała, wyrastając ponad zagubione spojrzenia chłopaków, dla których jej na wpół zrozumiała opowieść graniczyła z fantastyką. – Problem w tym, że jak ojciec dowie się, że aktywowałam swój protokół, to na pewno mi go zabierze i kto wie, co jeszcze. Dlatego musimy się śpieszyć – mówiła, wciąż boso gnając zasypanymi gruzem ulicami. Pokonywała z werwą znane jej już ruiny i zwolniła dopiero w mieście, wśród robotniczych tłumów, gdzie Sidday wreszcie odzyskał kontrolę. Znowu jako lider, rozdysponował rozkazy, zlecając drużynie zadanie zidentyfikowania nowego majora, a potem rozgonił ich, zostając tylko z Leną.

– Postul – poprosił chłopak. – Nie hulaj tak szybko. – Przytrzymał ją za ramię, czując ciepło pulsującej pod jej skórą krwi. Zmęczony, zgoniony, potrzebował przerwy i domyślał się, że ona też. Szukał słów, gestów, w które mógłby przekuć buzującą w sercu wdzięczność, próbując uchwycić w jednym kadrze myśli rozmiar zaklętej w niej doskonałości. Tak delikatna, wrażliwa, niezdarna, a jednocześnie niezniszczalna i radosna budziła w nim srogą, jak zima, zazdrość i coś jeszcze, czego pojąć nie potrafił, będąc błogo zagubiony w oczu jej kołysce. Utulony i zaczarowany, zapomniał, że istnieje świata bieg, bytów rozpaczliwa odrębność, marzeń przykry kres i kultury prosty wymóg, by nie rozdziawiać błazeńsko ust.

– Nie jest ci gorąco? – zapytała Lena.

– Co?

– W tej marynarce.

– Nie, błata nie – bezmyślnie wydukał chłopak.

– Nie jesteś na mnie zły?

– Zły, za co?

– Że zepsułam wam zadanie – przyznała dziewczyna i wpadła w toń skruchy jak kamień.

– No co ty, parowałaś mnie, to znaczy no...

– Uratowałam?

– Tak! – krzyknął Sidday i zachłysnął się wstydem.

– Ty też mnie uratowałeś i to nieraz. Przecież wszystko co mam, mam od ciebie. Dałeś mi jedzenie, schronienie, nawet ubranie, a ja zdążyłam już zgubić buty – ze skruchą powiedziała Lena, wpatrzona w gołe i brudne stopy. – Zrobiłeś to, mimo że nie dałam ci nic w zamian.

– Słapy to nie zwał – stwierdził chłopak i ściągnął z szyi srebrny amulet, skrywany do tej pory na piersi pod koszulą. – To dla ciebie – powiedział, wkładając jej w dłoń połyskujący w Słońcu przedmiot.

– Co to?

– Nie jarze tak w sumie. Był na polu, znalazłem go jak hulałem, znaczy szedłem do Welmond. Coś w nim jest scirzone, ukryte, ale nie da się go otworzyć.

– Jest piękny.

– To prezent – odważnie oświadczył Sidday, tremą spięty, stresem przejęty i miotany wściekłe tłukącym się sercem.

– Dziękuję – powiedziała Lena i zgrabnie schyliła głowę w akcie szczerzej wdzięczności. Obejrzała amulet z każdej strony, dotykiem wyczuwając roślinne zdobienia, a potem wtuliła go w pierś, jak najcenniejszy skarb, i założyła sobie na szyję. – Jesteś bardzo miły – dodała i niepostrzeżenie

pocałowała Siddaya w policzek, wysyłając go błyskawicznie w przestworza rotujących gwiazd, pędzących komet, niebiańskich eksplozji i odurzającego, kosmicznego pyłu.

– No pięknie – rzekł starszy człowiek, zacierając ręce na widok zakochanej pary. Sprośnym chichotem rozbił ich intymną chwilę. – Ja cię tyle szukam, a ty dziewczyny podrywasz? – zażartował.

– Kto ty? – pytał Sidday, chowając Lenę za plecami.

– Nazywam się Henry Skimmer i wreszcie cię znalazłem.

– Co warasz?

– Chcę ci pomóc.

– Dać?

– Cóż – wykrztusił Henry i chrząkaniem oczyścił gardło. – Mam trochę wiedzy, doświadczenia i parę istotnych informacji – powiedział, poprawiając tych kilka pasemek siwych włosów na głowie.

– No i?

– No i kiedyś byłem w tym samym miejscu, co ty teraz.

– Ty? Taki przodek? – zapytał Sidday i dokładnie przyjrzał się mężczyźnie w szarym, masowo szytym dla biurowych robotników garniturze. Jego duże uszy, komiczna twarz i ciemna plama na spodniach nie wzbudzały zaufania, a raczej litość i odrazę. – Nie ciurzę pomocy – chłodno oznajmił chłopak i zawrócił na pięcie, chwytając Lenę za ramię, gotowy po prostu odejść.

– To ja stworzyłem odwróconych – rzekł Henry, w garść chwytając uwagę młodego lidera. – Dawno temu, tak samo jak ty, zbudowałem organizację, która szybko mnie przerosła, zdeptała, zmieliła, połknęła – wymieniał, z każdym słowem pokrywając twarz zmarszczkami bóleści – a potem wypłuła – dodał i zdjął na chwilę maskę niegroźnego komika.

– Jesteś rączkiem?

– Spokojnie, chyba nie sądzisz, że trzymaliby w szeregach takiego staruszka, co? – znów zażartował mężczyzna, jakby nie potrafił wytrzymać bez błazenady dłużej niż na bezdechu. – Stworzyłem ich, ale już dawno nie mam nad nimi żadnej kontroli. W każdym razie popełniłem parę błędów, których łatwo mógłbym uniknąć, gdybym tylko wiedział to, co teraz wiem.

– Jeśli chcesz nam pomóc, to co możesz nam zaoferować? – wtrąciła Lena, wychodząc mu naprzeciw.

– Mądrze kombinujesz, młoda damo – spostrzegł Henry, pobudzony zainteresowaniem uroczej nastolatki. – Mam garść informacji, które mogą was bardzo zainteresować. Wiem na przykład, jakimi siłami dysponuje DARPA w mieście. W sumie to udało mi się nawet podpiąć do całej ich komunikacji – przyznał z dumą, która nie pasowała do jego wieku. – A ty, koleżanko, kim jesteś? – zapytał.

– Lena Anders, a co? – odważnie warknęła dziewczyna, nazwiskiem próbując wystraszyć obcego. Jak Sidday, nie ufała starszym i wtórowała mu niechęcią do nich.

– Ciekawe, ciekawe. Jakiś zjazd rodzinny macie?

– Co?

– Hegemon też jest w mieście, nie wiedziałaś? – zapytał Henry, zuchwałym uśmiechem celebrując udaną ripostę i całkiem niezamierzenie ubierając słowa w groźbę, którą złamał dziewczynę, niby kruchą gałąź. Gdyby nie ugięte łękiem i zmęczeniem kolana, Lena uciekłaby, spłoszona jak sarna w lesie.

– Sać to jarzysz?! Kąd tu jest?! Cytraj! – krzyczał Sidday z zaciśniętą pięścią w powietrzu.

– Bez obaw, ona raczej go nie interesuje – uspokajał sytuację staruszek, przeklinając w myślach własną niepohamowaną tendencję do nietaktownych żartów, które często mylone z szydzeniem nieraz pakowały go w kłopoty.

– To kąd, po co?!

– Tego to nie wiem, ale na pewno po nic dobrego.

– Larzysz!

– A skąd, to Anders, on nigdy nie ma dobrych intencji – stwierdził Henry i nieumyślnie pchnął Lenę w przepaść totalnej paniki. Rozhisteryzowana, jak płomieniami poganiania, wyrwała się Siddayowi z uścisku i uciekła, zostawiając go z gorzkim poczuciem niezdecydowania. – No goń ją – mężczyzna zasugerował – bo tylko miłość może skleić świat. Ja tu będę jeszcze jutro – dodał i znów sucho zakaszłał, a gdy podniósł wzrok, chłopaka już nie było.

Niczym dzikie, nieufne zwierzę Lena przemykała ulicami, trzymając Siddaya na dystans, traktując go jak cień, obcą istotę, przechodnia, którego podróż na chwilę zbiegła się z jej celem. Idąc obok, ale

trochę inną drogą, nie miała mu nic do zaoferowania: ani czułości dotyku, ani słów ciepłego brzmienia, nawet najmniejszej deklaracji zainteresowania, a on tak ją uwielbiał, ubóstwiał, miłował, z każdym krokiem na nowo umierając dla niej pożądaniem. Klucząc w ten sposób dróg labiryntem, niesieni do tłumów odrazą, samotni, lecz celem zaręczeni, Lena i Sidday dobili w końcu do bazy Synogi.

Tam, przy drzwiach, z całym chłodem dystansu w kurtuazji zaklętym, dziewczyna poprosiła o możliwość wzięcia prysznic, na co chłopak wyraził niemal notarialną zgodę, a potem aż jęczał z bezsilności, stercząc przy schodach i jak pies wyczekując powrotu pana. Pokorne w nim zwierzę szybko przerodziło się w rozsierdzoną bestię, targaną oskarżeniami o zaniedbanie, porzucenie i zdradę. Tak lwim w kółko człapaniem Sidday odmierzał czas, zbierając dla ukochanej słowa przeprosin, wsparcia, nadziei, łącząc zdania w kolorowe wianki i zaraz zrywając je w przebłytku rozczarowania banalnie ułożonym z nich bukietem.

Niepostrzeżenie dotarł na górę, pod drzwi pokoju, gdzie z serca płynąca odwaga wepchnęła go bezmyślnie do środka. Oto stała przed nim, półnaga, mokra dziewczyna, na podium wyciętym strumieniem światła. Pulsujące Słońce okrasilo ją tytułem najpiękniejszej ze wszystkich. Odwrócił się, choć wcale nie chciał, i niemal nie zemdlał, próbując wykrztusić z ust przeprosiny.

– Nic się nie stało – bez urazy zapewniła Lena i spokojnie, nagłą wizytą w ogóle niewzruszona, włożyła trzymane w rękach spodnie, a potem luźną koszulę. – Już – powiedziała, zaciskając na piersi dwa białe sznurki.

Jak wielka kopuła kosmicznego obserwatorium, głowa Siddaya, a potem jego tułów i nogi nawróciły w kierunku niezbadanej obcości jej astralnego ciała. Był gotów spłonąć w ogniu ginących gwiazd, ulec rozszczepieniu w starciu czarnych dziur, szczerząc w międzygalaktycznym pustkowiu, słowem, przygotował się na wszystko, lecz i tak skonał zmieciony esencją rozpaczy, po krańce wszechświata wypełniającej oczy dziewczyny, której uwydatnione mokrym materiałem krzywizny dodatkowo wzbudzały w nim najbardziej pospolite, ludzkie i po raz pierwszy świadome żądze.

– Przerazasz mnie – wyszeptala Lena, budząc go z odruchowej oczu ucztę.

– Lena... – z drzeniem głosu Sidday wykrztusił pierwsze słowo – możesz być z nami. Bońki, znaczy chłopaki, cię polubią i ci zaufają – mówił bliskim jej językiem. – Po tym, co dziś zrobiłaś, nie będzie problemu. Ja ci pomogę.

– Dzięki, ale on mnie zabije – dziewczyna stwierdziła z przerażającą pewnością i usiadła na łóżku, przyglądając się swoim pokaleczonym stopom.

– Cytrasz, jakby to już było, a ja nie pozwolę mu na to!

– Nie? – odmówiła mu zaufania Lena, w głośnym śmiechu uwalniając lęk przed ojcem. – Jak będzie chciał mnie znaleźć, to mnie znajdzie i zrobi, co zechce. Nie zatrzymasz go.

– Ja jarze, wiem, że takie cytranie nic nie znaczy, ale ja zrobię wszystko, wszystko!

– Wszystko to może być za mało.

– Nie! – krzyknął Sidday, stawiając opór jej fatalizmowi. – Zatrzymam go, nawet jakbym Synogę stracił, obiecuję ci! – Kroczył dzielnie ku dziewczynie, fizyczną bliskością dodając mocy połamanym słowom.

– Kasmira nie zatrzymałeś – wyszeptala Lena, oskarżeniem, jak barierą, blokując chłopakowi drogę, a odwróconą głową odmawiając mu litości.

– Co?

– Nic.

– Kasmira? – zapytał Sidday i ugrzązł w sieci z podejrzeń splecionej. Klęczał przed nią i jak rycerz ślubował wierność. – Nie rozumiem. O czym cytrasz?

– O niczym – Lena rozpaczliwie próbowała uciąć rozmowę. Zacisnęła kolana, spięła wszystkie mięśnie, skuliła ramiona, zakleszczając ręce na brzuchu i przyjmując pozę z rana, gdy nago w stajni siedziała.

– Chodzi o to, że zerwał z ciebie wry? – próbował ją zrozumieć chłopak, pytaniami tylko zacieśniając na jej ustach więzy milczenia. Poirytowany wstał z kolana i zaczął chodzić wkoło, jak ślepy po omacku szukając prawdy tak obrzydliwej, że dla niego niewidocznej. – Cytraj! Teraz! – krzyknął i stracił nad sobą kontrolę. – Mów, co zrobił, albo hulnę po niego! – zawył, Słońcu dorównując błyskiem szaleństwa.

Lena podniosła wzrok, przez chwilę żałując zebranych w gardle słów, które przenikliwym piskiem w końcu rozsadziły przeżarte skrytym gniewem mury tajemnicy.

– A co taki napalony gnój może zrobić nagiej, bezbronnej i znieprawionej przez siebie dziewczynie?!

Nie do końca rozumiał, dokąd biegł. Nie pamiętał schodów, korytarza i mijanych osób. W tle huczącej nienawiści, z tyłu głowy, szumiały jej błagania, by się zatrzymał, by tego nie robił, nie słuchał ich. Szał był szczelny, doskonale odcinał go od świata i kontrolował każdy ruch, prowadząc w prostej linii do spełnienia zemsty. Czysta i samoświadoma furia, jak instynktem prowadzony drapieżnik, pchała chłopaka tam, gdzie mogła znaleźć dla siebie ujście. Gdy woń ofiary zagaściła powietrze, świat eksplodował wydartymi z rzeczywistości kadrami, przejawskrawionymi dźwiękami i palącymi końcówkami nerwów bodźcami. Ciężki i szybki oddech zszywał przeskakujące obrazy miasta, przerażone spojrzenia i usta, które choć drgały, to nie mówiły. Potem krzyki i piski, błyski kłów i pęd, i pogoń, i szal, i trzaski, lament, krew, cisza. Niecałą godzinę później Sidday był z powrotem i niewiele pamiętał.

Do budynku wszedł w spokojnym, prawie katatonicznym stanie. Opanowany i chłodny, na rękach miał krew, a w oczach pustkę. Dziś po raz pierwszy zakochał się i po raz pierwszy zabił, nie w samoobronie, nie by kogoś uratować, a z najczystszej umyślnej zemsty. Dojrzał do roli lidera Synogi, został mężczyzną i z taką myślą, zanim dopadnie go rozpaczliwa świadomość zbrodni, chciał jak najszybciej wrócić do Leny.

– Czyja to bluzga?! Ktoś kichnął? – zapytał Helter, zatrzymując lidera w korytarzu na parterze budynku.

– Kasmira. Kichnąłem go.

– Co?!?

– Zabiłem go, tak o, rękoma, tłukłem głową o podłogę, aż kichnął – obojętnie opowiadał Sidday i z niewinną ciekawością oglądał zakrwawione dłonie, próbując sprecyzować ich rolę w dokonanym akcie okrucieństwa.

– Ale gono!?! – wydzierał się Helter i potrząsał liderem, jak pnem spróchniałego drzewa.

– Bo ją zbluźnił!

– Co?

– Zbluźnił, zbluźnił! – wykrzyczał Sidday i z obrzydzeniem go odepchnął.

Helter natychmiast ustąpił, bo mimo młodego wieku potrafił odczytać siły kierujące ludzkimi zachowaniami. Wiedział, że miłość nie różni się od żądzy władzy w tym, że potrafi przekonać do najokrutniejszego ze wszystkich czynu.

– Jarzysz, że będzie gres? – zapytał. – Oni nie ruskną tego tak o.

– Nieważne.

– Dobra. Pocytram z bońkami z południa. Wybadam ich – zasugerował Helter, rozumiejąc, że to jemu przyjdzie łagodzić ten kryzys. W głowie już planując działania, spostrzegł na swojej białej koszuli dwa krwawe odciski dłoni, które jak pierwszy grzmot błyskawicy uświadomiły mu wiszącą nad ich głowami burzę.

– Cytraj im, że lada ktoś jeszcze wara się ze mną pasować, albo bulić Lenę, kichnie dać Kasmir – rozkazał Sidday i powoli, ciężkimi od sumienia krokami, zaczął wspinaczkę po schodach.

– Postul, jeszcze jedno – zawołał chłopak i widząc, że lider go ignoruje, szybko dodał: – Gańce cytrają, że na Raksach kichnęli nadzorczyńnię. Podobno duża celanina była i sam Hegemon ją uciął.

– I dobrze – burknął Sidday i zniknął za zakrętem schodów.